

JOËL DICKER



KSIĘGA RODU Z BALTIMORE

POWIEŚĆ AUTORA
„PRAWDY O SPRAWIE HARRY’EGO QUEBERTA”!

Jutro mój kuzyn Woody pójdzie do więzienia. Spędzi w nim najbliższe pięć lat życia.

Jadąc z lotniska w Baltimore do Oak Park, dzielnicy jego dzieciństwa, gdzie za chwilę spotkamy się w ostatnim dniu Woody'ego na wolności, już teraz wyobrażam go sobie stojącego przed bramą wielkiego zakładu karnego w Cheshire w Connecticut.

Spędzimy ten dzień w domu mojego wuja Saula, w którym byliśmy tacy szczęśliwi. Przyjadą Hillel i Alexandra i przez kilka godzin znów będziemy tworzyć ten sam wspaniały kwartet co kiedyś. W tym momencie jeszcze nie wiem, jak bardzo ten dzień zaważy na życiu każdego z nas.

Dwa dni później zadzwonił do mnie wuj Saul.

– Marcus? Mówi wuj Saul.

– Dzień dobry, wujku. Co sły...

Nie pozwolił mi skończyć.

– Posłuchaj uważnie, Marcus: chcę, żebyś natychmiast przyjechał do Baltimore. Bez zadawania pytań. Zdarzyło się coś poważnego.

I odłożył słuchawkę. Pierwszą moją myślą było, że

połączenie zostało przerwane, więc natychmiast oddzwoniłem: nie odpowiadał. A że nie dawałem za wygraną, w końcu odebrał i rzucił krótko:

– Przyjedź do Baltimore.

I znów się rozłączył.

Jeśli wpadnie wam w ręce ta książka, przeczytajcie ją.

Chciałbym, żeby ktoś poznał historię Goldmanów z Baltimore.

1

Jestem pisarzem.

Tak mnie wszyscy nazywają. Przyjaciele, krewni, rodzina, a nawet nieznanne mi osoby, które rozpoznały mnie gdzieś w miejscu publicznym, mówią: „Czy nie jest pan tym pisarzem...?”. Jestem pisarzem, to moja tożsamość.

Ludzie myślą, że będąc pisarzem, prowadzisz raczej spokojne życie. Jeszcze niedawno jeden z moich przyjaciół, narzekając na codzienne kursowanie między domem i biurem, na koniec rzucił: „Nie to, co ty, rano wstajesz, siadasz przy biurku i piszesz. I tyle”. Nic nie odpowiedziałem, z przygnębieniem uświadamiając sobie, jak bardzo w wyobraźni ogółu moje zajęcie polega na próżnowaniu. Ludziom wydaje się, że nic nie robisz, tymczasem wtedy właśnie, kiedy nic nie robisz, pracujesz najciężej.

Pisanie książki jest jak organizowanie kolonii wakacyjnych. Twoje życie, zwykle samotnicze i spokojne, wypełnia raptem gwarna gromada postaci, które pewnego dnia niespodziewanie się zjawiają i wywracają do góry nogami jego porządek. Przyjeżdżają rano wielkim autobusem, hałaśliwie się z niego wysypują, wielce podekscytowane rolą, jaka im przypadła. A ty musisz to wszystko ogarnąć, musisz się nimi zająć,

ulożone je i nakarmić. Jesteś odpowiedzialny za wszystko. Ponieważ to ty jesteś pisarzem.

Cała historia zaczęła się w lutym 2012 roku, kiedy opuściłem Nowy Jork, zamierzając zasiąść do pisania mojej nowej powieści w domu, który niedawno kupiłem w Boca Raton na Florydzie. Nabyłem go trzy miesiące wcześniej za pieniądze ze sprzedaży praw do filmowej adaptacji mojej ostatniej książki i nie licząc kilku krótkich wypadów na Florydę w grudniu i styczniu, żeby go umeblować, po raz pierwszy miałem zatrzymać się w nim dłużej. Dom był rozległy, z wielkimi oknami balkonowymi, z widokiem na jezioro cenione przez amatorów spacerów. Stał w spokojnej, pełnej zieleni dzielnicy, zamieszkaney głównie przez majątnych emerytów, do których, będąc o połowę od nich młodszy, nie bardzo pasowałem. Ale wybrałem to miejsce właśnie z powodu panującej tu idyllicznej atmosfery. Takiego miejsca potrzebowałem, żeby móc pisać.

W przeciwieństwie do poprzednich, bardzo krótkich wizyt, tym razem miałem mnóstwo czasu, więc wybrałem się na Florydę samochodem. Dwa tysiące kilometrów do przejechania wcale mnie nie przerażało: w poprzednich latach odbywałem tę podróż niezliczoną ilość razy, przyjeżdżając z Nowego Jorku w odwiedziny do mojego wuja, Saula Goldmana, który po Tragedii, jaka spotkała jego rodzinę, osiadł na przedmieściach Miami. Znałem tę drogę na pamięć.

Opuściłem Nowy Jork przykryty śniegiem i skutym dziesięciostopniowym mrozem, a dwa dni później w Boca Raton powitała mnie łagodność tropikalnej zimy. Ta swojska sceneria ze słońcem i palmami nieodparcie nasuwała mi skojarzenia z wujem Saulem. Bardzo mi go brakowało. Jak bardzo, uświadomiłem to sobie w momencie zjazdu z

autostrady w kierunku Boca Raton, bo najchętniej pojechałbym dalej, do Miami, do niego. Zaczęłem się wręcz zastanawiać, czy moje poprzednie, krótkie wypadki tutaj miały rzeczywiście na celu umeblowanie domu, czy może były raczej sposobem odnowienia więzów z Florydą. Bez niego wszystko wyglądało inaczej.

Moim najbliższym sąsiadem w Boca Raton był sympatyczny siedemdziesięciolatek Leonard Horowitz, swego czasu wybitny specjalista w dziedzinie prawa konstytucyjnego na Uniwersytecie Harvarda, który na Florydzie spędzał zimy i od śmierci żony zbierał się do pisania książki, jednak w żaden sposób nie potrafił jej zacząć. Po raz pierwszy spotkałem go w dniu, kiedy kupiłem dom. Zadzwoił do moich drzwi, dzierżąc w wolnej ręce zgrzewkę piwa, żeby powitać nowego sąsiada. Z miejsca poculiśmy do siebie sympatię. Od tamtej pory stało się zwyczajem, że za każdym razem, gdy przyjeżdżałem do Boca Raton, przychodził się przywitać. Szybko nawiązaliśmy przyjacielskie stosunki.

Lubił moje towarzystwo i myślę, że był zadowolony, że postanowiłem zostać na dłużej. A ponieważ wyjaśniłem, że zabieram się do pisania nowej książki, natychmiast opowiedział mi o swojej. Choć wkładał w to dzieło całe serce, z postępami było gorzej. Nosił z sobą wszędzie wielki kołonoatnik, na którym flamastrem napisał: *Zeszyt pierwszy*, co miało sugerować, że będą następne. Widywałem go, jak siedział nad nim w skupieniu przy kuchennym stole, na swoim tarasie bądź przy kawiarnianym stoliku w śródmieściu. On natomiast widywał mnie podczas spaceru, gdy pływałem w jeziorze, opalałem się albo chodziłem pieszo na zakupy. Wieczorem dzwonił do moich drzwi z zimnym piwem. Piliśmy je u mnie na tarasie, grając w szachy lub słuchając

muzyki. Za nami rozciągała się bajeczna sceneria jeziora i palm różowiejących w zachodzie słońca. Między jednym i drugim ruchem, nie odrywając oczu od szachownicy, zadawał mi zawsze to samo pytanie:

– I jak tam, Marcus, twoja książka?

– Do przodu, Leo, do przodu.

Byłem w Boca Raton już dwa tygodnie, kiedy któregoś wieczoru, zgarniając moją wieżę, nagle zastygł w pół ruchu i rozdrażnionym tonem rzucił:

– Czy nie przyjechałeś tu, żeby pisać nową książkę?

– Owszem, a czemu pytasz?

– Bo tylko się obijasz. To mnie denerwuje.

– Co ci każe myśleć, że nic nie robisz?

– Przecież widzę! Całymi dniami nic nie robisz, tylko bujasz w obłokach, uprawiasz sport i gapisz się w niebo. Mam siedemdziesiąt osiem lat, więc to ja powinienem wegetować jak ty teraz, a ty, który ledwie przekroczyłeś trzydziestkę, powinieneś w pocie czoła pracować!

– Co cię tak naprawdę irytuje, Leo? Moja książka czy twoja?

Trafiłem w dziesiątkę. Złagodniał.

– Chciałbym po prostu wiedzieć, jak ty to robisz. Bo ja z moją powieścią stoję wciąż w miejscu. Jestem ciekaw, jak ty pracujesz.

– Siadam na tarasie i myślę. A to jest, uwierz mi, ciężka praca. Ty piszesz, żeby zająć czymś umysł. To co innego.

Przesunął swojego skoczka i zagroził mojemu królowi.

– Nie mógłbyś mi podsunąć jakiegoś dobrego pomysłu na powieść?

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo to musi wyjść od ciebie.

– Tak czy inaczej, unikaj w swojej książce wzmianki o Boca Raton. Nie chcę, żeby zjechały tu hordy twoich czytelników, żeby zobaczyć, gdzie mieszkasz.

Uśmiechnąłem się.

– Nie trzeba szukać pomysłu, Leo – dodałem. – Pomysł sam do ciebie przyjdzie. Pomysł to jest zdarzenie, które może w każdej chwili nastąpić.

Czyż mogłem przewidzieć, że w chwili, gdy to mówiłem, tak właśnie się stanie? Zauważyłem, że nad brzegiem jeziora błąka się jakiś pies. Muskularnej, choć szczupłej budowy, o spiczastych uszach i z nosem zanurzonym w trawie. W pobliżu nie widać było żadnego spacerowicza.

– Wygląda na to, że ten pies jest sam – zauważyłem.

Horowitz uniósł głowę i przyjrzał się zwierzakowi.

– Tutaj nie ma bezpańskich psów – orzekł zdecydowanym tonem.

– Nie powiedziałem, że jest bezpański. Powiedziałem, że jest sam.

Uwielbiam psy. Wstałem z krzesła i zagwizdałem, żeby go przywołać. Pies postawił uszy. Gwizdnąłem ponownie i podbiegł.

– Zwariowałaś? – obruszył się Leo. – Skąd wiesz, że ten pies nie ma wścieklizny? Twój ruch.

– Nie wiem – odpowiedziałem, z roztargnieniem przesuwając wieżę.

By mnie ukarać za taką zuchwałość, Horowitz zgarnął moją królową.

Pies podbiegł do tarasu. Przykucnąłem przy nim. Był to spory samiec ciemnej maści, z czarnymi obwódkami wokół oczu i z wibrykami długimi jak u foki. Przytulił do mnie łeb, a ja go pogłaskałem. Sprawiał wrażenie łagodnego zwierzęcia. Od razu wyczułem rodzącą się między nami komitywę; to

była wzajemna sympatia od pierwszego spojrzenia, i ci, którzy znają się na psach, wiedzą, o czym mówię. Nie miał obroży, niczego, co pozwoliłoby go zidentyfikować.

– Widziałeś już tego psa? – zapytałem Leonarda.

– Nigdy.

Odbywszy inspekcję tarasu, zanim zdążyłem go zatrzymać, pies odbiegł i zniknął wśród palm i krzewów.

– Wygląda na to, że wie, dokąd iść – powiedział Horowitz.

– To pewnie pies któregoś z sąsiadów.

Powietrze tego wieczoru było bardzo parne. Mimo ciemności można się było domyślić, jak groźnie wygląda niebo. Niedługo po wyjściu Lea rozpętała się gwałtowna burza z potężnymi wyładowaniami w oddali za jeziorem, a potem chmury pękły i lunął ulewny deszcz. Koło północy, kiedy czytałem w salonie, usłyszałem dobiegające z tarasu szczekanie. Poszedłem sprawdzić, co się dzieje, i za drzwiami balkonowymi ujrzałem zmokniętego, wyglądającego żałośnie psa. Otworzyłem drzwi, a on momentalnie wślizgnął się do środka. Popatrzył na mnie z błagalną miną.

– No dobrze, możesz zostać – powiedziałem.

W dwóch rondlach, które posłużyły za miski, podałem mu wodę i pokarm, ręcznikiem kąpielowym wytarłem go do sucha, a potem, siedząc z nim na podłodze, wpatrywaliśmy się w spływające po szybach strugi deszczu.

Spędził u mnie noc. Nazajutrz rano zastałem go spokojnie śpiącego na posadzce w kuchni. Ze sznurka zrobiłem mu smycz, choć przesadziłem z ostrożnością, bo pies szedł za mną posłusznie, i tak wyruszyliśmy na poszukiwanie jego pana.

Na ganku swojego domu Leo pił kawę nad otwartym na rozpaczliwie pustej stronie *Zeszytem pierwszym*.

– Co ty wyprawiasz z tym psem, Marcus? – zapytał, widząc, że każe psu wskoczyć do bagażnika mojego samochodu.

– Dziś w nocy znalazłem go na tarasie. Była taka burza, że wpuściłem go do środka. Myślę, że się zgubił.

– I dokąd z nim jedziesz?

– Zostawię ogłoszenie w supermarkecie.

– Ty naprawdę nigdy nie pracujesz.

– Teraz pracuję.

– No cóż, tylko z tym nie przesadz, żebyś się nie przepracował, kolego.

– Obiecuję.

Zostawiłem ogłoszenia w dwóch najbliższych supermarketach, a potem trochę pospacerowałem z psem po głównej ulicy Boca Raton, licząc, że może ktoś go rozpozna. Ale nie. W końcu udałem się na posterunek policji, gdzie mnie skierowano do gabinetu weterynarza. Czasem psy mają wszczepiony chip z danymi umożliwiającymi odnalezienie ich właściciela. Jednak ten go nie miał i weterynarz nie mógł mi pomóc. Zasugerował, żebym oddał psa do schroniska dla zwierząt, na co się nie zgodziłem, i wróciłem do domu z moim nowym towarzyszem, który, muszę przyznać, mimo swoich imponujących gabarytów, był stworzeniem wyjątkowo łagodnym i posłusznym.

Na ganku swojego domu Leo wypatrywał mojego powrotu. Widząc, że nadjeżdżam, szybko ruszył w moją stronę, wymachując plikiem świeżo wydrukowanych kartek. Odkrywszy niedawno magię wyszukiwarki Google, co rusz wklepywał w nią nurtujące go w danym momencie pytania. Na takiego jak on belfra starej daty, który spędził znaczną część życia w bibliotekach, magia algorytmów wyszukiwania działała z wyjątkową mocą.

– Przeprowadziłem małe śledztwo – oznajmił takim tonem, jakby rozwiązał właśnie zagadkę śmierci Kennedy’ego, wręczając mi plik kartek, przez które wkrótce będę musiał pomóc przy wymianie tonera w jego drukarce.

– I co pan takiego odkrył, profesorze Horowitz?

– Psy zawsze odnajdują swój dom. Niektóre potrafią przebyć setki kilometrów, żeby wrócić do swoich bliskich.

– I co w związku z tym mi radzisz?

Leo z miną starego mędrca obwieścił:

– Idź za psem, zamiast zmuszać go, żeby on za tobą podążał. On wie, gdzie ma wrócić, a ty nie.

Nie mylił się. Postanowiłem spuścić psa ze smyczy i pozwolić, żeby sam wybrał drogę. Ruszył truchtem wzdłuż brzegu jeziora, potem przeciął ścieżkę dla pieszych. Przeszedłszy przez pole golfowe, dotarliśmy do innej, leżącej w zakolu cieśniny eleganckiej dzielnicy willowej, której jeszcze nie znałem. Pies szedł dalej, dwukrotnie skręcił w prawo i w końcu zatrzymał się pod bramą, za którą ujrzałem wspaniały dom. Usiadł i zaszczekał. Nacisnąłem guzik domofonu. Usłyszawszy głos kobiety, powiedziałem, że znalazłem jej psa. Brama się otworzyła i pies pognął w stronę domu, najwyraźniej uszczęśliwiony, że wrócił do swojej pani.

Ruszyłem za nim. Na ganek wyszła kobieta i pies natychmiast radośnie się do niej rzucił. Usłyszałem, jak kobieta woła jego imię. Duke. Zaczęło się tulenie i czułości, ja zaś podszedłem bliżej. Kobieta uniosła głowę, a mnie aż zatkało z wrażenia.

– Alexandra? – wykrztusiłem.

– Marcus?

Oboje nie wierzyliśmy własnym oczom.

Ponad siedem lat po Tragedii, która nas rozdzieliła, znowu ją spotkałem. Zrobiła wielkie oczy ze zdziwienia i powtórzyła,

prawie krzycząc:

– Marcus, czy to ty?!

Stałem bez ruchu jak ogłuszony.

Podbiegła do mnie.

– Marcus!

W odruchu czułości objęła dłońmi moją twarz. Tak jakby ona również w to nie wierzyła i chciała się upewnić, że to rzeczywistość, a nie sen. Nie byłem w stanie wykrztusić słowa.

– Marcus – powiedziała cicho – nie mogę uwierzyć, że to ty.



Jeśli nie jesteście pustelnikami żyjącymi w jaskini, musieliście słyszeć o Alexandrze Neville, piosenkarce komponującej muzykę do własnych utworów, megagwieździe ostatnich lat. Była idolką, na którą ludzie od dawna czekali, która tchnęła nowego ducha w przemysł muzyczny. Jej trzy albumy rozeszły się w dwudziestu milionach egzemplarzy; przez drugi rok z rzędu figurowała wśród najbardziej wpływowych postaci w rankingu tygodnika „Time”, jej osobisty majątek zaś szacowano na sto pięćdziesiąt milionów dolarów. Była uwielbiana przez publiczność, wychwalana przez krytyków. Kochali ją zarówno nastoletni fani, jak i starsi słuchacze. Uwielbiali ją wszyscy do tego stopnia, że gdy pojawiała się publicznie, ludzie skandowali z zapamiętaniem: *A-lex-an-dra!*

Jej partnerem był kanadyjski hokeista, Kevin Legendre, który w tym momencie pojawił się za jej plecami.

– Znalazł pan Duke’a! Od wczoraj go szukaliśmy! Alex traciła już głowę! Dziękuję!

Wyciągnął rękę, żeby się ze mną przywitać. Ujrzałem, jak jego biceps pręży się, miażdżąc w uścisku moją dłoń. Dotąd

widywałem Kevina jedynie w tabloidach, które niestrudzenie komentowały jego związek z Alexandrą. Był nieprzyzwoicie przystojny. Jeszcze przystojniejszy niż na zdjęciach. Przez chwilę uważnie i z ciekawością mi się przyglądał, aż w końcu powiedział:

- Ja chyba pana znam...
- Nazywam się Marcus. Marcus Goldman.
- Pisarz, prawda?
- Tak.
- Czytałem pana ostatnią książkę. Alexandra mi poradziła, żebym ją przeczytał, bardzo jej się podobała.

Nie mogłem w to wszystko uwierzyć. W to, że odnalazłem Alexandrę w domu jej narzeczonego. Kevin, który nie zdawał sobie sprawy, co się naprawdę dzieje, zaproponował, żebym został u nich na kolacji, na co ochoczo przystałem.

Piekiłśmy wielkie steki na ustawionym na tarasie ogromnym grillu. Nie śledziłem ostatnich dokonań w karierze Kevina; myślałem, że nadal jest obrońcą Predators z Nashville, tymczasem on podczas letnich transferów zwerbowany już został przez drużynę Panthers z Florydy. Dom należał do niego. Mieszkał teraz w Boca Raton, Alexandra zaś, korzystając z przerwy w nagrywaniu nowej płyty, przyjechała do niego w odwiedziny.

Dopiero pod koniec kolacji Kevin połapał się, że ona i ja jesteśmy dobrymi znajomymi.

- Jesteś z Nowego Jorku? – zapytał.
- Tak. Mieszkam tam na stałe.
- A co cię sprowadza na Florydę?
- Od kilku lat tu przyjeżdżam. Mój wuj mieszkał w Coconut Grove i często go odwiedzałem. Niedawno kupiłem dom w Boca Raton, niedaleko stąd. Potrzebowałem spokojnego miejsca, żeby móc pisać.

– Co słyhać u twojego wuja? – zapytała Alexandra. – Nie wiedziałam, że wyjechał z Baltimore.

Uchylając się od odpowiedzi na to pytanie, wyjaśniłem krótko:

– Wyjechał z Baltimore po Tragedii.

Kevin odruchowo wycelował w nas widelcem.

– Czy ja śnię, czy wy się już znacie?

– Mieszkałam przez kilka lat w Baltimore – wyjaśniła Alexandra.

– I mieszkała tam też część mojej rodziny – dodałem. – Wuj, o którym mowa, jego żona i moi kuzyni. Mieszkali w tej samej dzielnicy co Alexandra z rodziną.

Ona uznała za stosowne nie wchodzić w szczegóły, więc zmieniliśmy temat. Ponieważ przyszedłem na piechotę, po kolacji zaproponowała, że mnie odwiezie.

Kiedy tylko znaleźliśmy się w samochodzie sam na sam, wyczułem między nami skrępowanie. W końcu zagaiłem:

– To niesamowite, że twój pies przybłąkał się akurat do mnie...

– Duke często ucieka.

– Może nie lubi Kevina – skomentowałem złośliwie.

– Nie zaczynaj, Marcus! – rzuciła ostrym tonem.

– Nie bądź taka, Alex...

– Jaka?

– Dobrze wiesz, co mam na myśli.

Znienacka zahamowała pośrodku drogi i popatrzyła mi głęboko w oczy.

– Marcus, dlaczego mi to zrobiłeś?

Z trudem wytrzymałem jej spojrzenie.

– Zostawiłeś mnie! – krzyknęła.

– Wybacz. Ale miałem swoje powody.

– Swoje powody? Nie było żadnego powodu, żeby

wszystko zniszczyć!

– Alex, oni... Oni nie żyją!

– No to co? Czy to moja wina?!

– Nie – odpowiedziałem. – Żałuję. Żałuję za wszystko.

Zapanowało między nami ciężkie milczenie. Jedynymi słowami, jakie padły z moich ust, były wskazówki, jak dojechać do mojego domu. Kiedy dotarliśmy na miejsce, powiedziała:

– Dziękuję za Duke’a.

– Cieszę się, że cię znów zobaczyłem.

– Myślę, że lepiej, żebyśmy na tym poprzestali. Nie wracaj już, Marcus.

– Do Kevina?

– Do mojego życia.

I odjechała.

Nie byłem w nastroju, żeby wrócić do domu. Miałem przy sobie kluczyki do samochodu, postanowiłem więc trochę pojeździć po okolicy. Dotarłem aż do Miami, po czym bez namysłu ruszyłem przez miasto, dojechałem do spokojnej dzielnicy Coconut Grove i zaparkowałem pod domem wuja. Wieczór był ciepły, wysiadłem z samochodu i oparty o karoserię, długo wpatrywałem się w dom. Miałem wrażenie, że wuj Saul jest w środku, że wyczuwam jego obecność. Chciałem go znów zobaczyć i był tylko jeden sposób, żeby to osiągnąć. Opisać go.



Saul Goldman był bratem mojego ojca. Przed Tragedią, przed wydarzeniami, o których zamierzam wam opowiedzieć, był on – by użyć określenia moich dziadków – ważną personą. Został adwokatem, kierował jedną z najbardziej znanych kancelarii w Baltimore, z racji swojego

doświadczenia uczestniczył w procesach sławnych w całym Marylandzie. Był zaangażowany w sprawę Dominica Pennella, występował w procesie „Miasto Baltimore przeciwko Morris Enterprise”, jak również zajmował się sprawą nielegalnych transakcji Sunridge’a. W Baltimore wszyscy go znali. Pisano o nim w gazetach, występował w telewizji i do dziś pamiętam, jak wielkie robiło to wówczas na mnie wrażenie. Poślubił swoją młodzieńczą miłość, która dla mnie była ciotką Anitą. W dzieciństwie uważałem ją za najpiękniejszą z kobiet i najczulszą z matek. Była lekarką, ordynatorem na oddziale onkologicznym szpitala Johnsa Hopkinsa, jednego z najlepszych w kraju. Mieli wspaniałego syna Hillela, serdecznego, ponadprzeciętnie inteligentnego chłopca, mojego rówieśnika – było między nami ledwie kilka miesięcy różnicy – z którym łączyły mnie więzy braterstwa i przyjaźni.

Najcudowniejsze chwile mojej młodości to te, które z nimi spędziłem; przez długi czas na samą wzmiankę o nich puchłem z dumy i ze szczęścia. Uważałem, że tworzyli rodzinę lepszą od tych, jakie dotąd znałem, byli lepsi od wszystkich ludzi, z którymi się dotąd zetknąłem: szczęśliwsi, bardziej spełnieni, ambitniejsi, bardziej godni szacunku. I przez długi czas życie przyznawało mi rację. Byli istotami wyższego rzędu. Fascynowała mnie swoboda, z jaką szli przez życie, urzekła ich charyzma, olśniewała ich zamożność. Podziwiałem ich wygląd, ich stan posiadania, ich pozycję społeczną. Ich ogromny dom, ich luksusowe samochody, ich letnią rezydencję w Hamptons, ich apartament w Miami, ich coroczne wyjazdy w marcu na narty do Whistler w Kolumbii Brytyjskiej. Ich bezpretensjonalność, ich szczęście. Ich serdeczność wobec mnie. Ich cudowną wyższość, która wywoływała u innych odruchowy podziw. Nie budzili zawiści; byli zbyt niedoścignieni, żeby im zazdrościć. Bogowie

obdarzyli ich swoim błogosławieństwem. Przez długi czas
wierzyłem, że nigdy nic złego ich nie spotka. Przez długi
czas wierzyłem, że są nieśmiertelni.

2

Nazajutrz po nieoczekiwanym spotkaniu z Alexandrą cały dzień spędziłem w moim gabinecie. Wyszedłem tylko raz, żeby w chłodzie wczesnego poranka pobiegać nad brzegiem jeziora.

Nie wiedząc jeszcze, jak to wykorzystam, postanowiłem w formie notatek odtworzyć najbardziej znaczące wydarzenia w historii Goldmanów z Baltimore. Na początek nakreśliłem drzewo genealogiczne naszej rodziny, po czym zorientowałem się, że wymagałoby ono paru wyjaśnień, zwłaszcza dotyczących pochodzenia Woody'ego. Drzewo szybko zamieniło się w las pobocznych komentarzy, więc stwierdziłem, że dla większej przejrzystości lepiej będzie przenieść to wszystko na fiszki. Na biurku przede mną stało zdjęcie, które dwa lata temu znalazł wuj Saul. Zrobione przed siedemnastu laty przedstawiało mnie w towarzystwie trzech najbliższych mi osób: dwójki moich uwielbianych kuzynów i Alexandry. Każdemu z nas przysłała jego kopię z napisem na odwrocie:

Kocham Was, Goldmanowie.